Nr. 12. We Lwowie dnia 19. Marca 1899. Rok 7.



Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

8)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

(Ciąg dalszy).



akie to są próbki, dotyczące wiadomości generał-gubernatora z dziedziny etnografji, geografji i zoologji. Inne, ciekawe wiadomości jego z zakresu fizyki, astronomji, geologji, socjologji etc. pomijam.*) O tem zaś, jak traktował swoich podwładnych, mogą dać niejakie wyobrażenie fakty następujące:

Na uczcie, wydanej przez gubernatora krasnojarskiego na cześć przybycia po raz pierwszy na Syberję wielkorządcy, złajał wszystkich wyższych urzędników obecnych, nazywając ich wprost złodziejami. Wygnał od siebie prezydenta miasta („Garadawoj gaława“), gdy ten wystąpił w obronie praw mieszczaństwa, pogwałconych przez generał-gubernatora, i złajał go temi słowy: „Charasza gaława, kahda w niej mazgi jest“. (Co znaczy: „że tylko wtedy głowa jest dobrą, kiedy posiada mózg), obił sam kijem obywatela miasta Irkucka, dzierżawcę przewozu na rzece Angarze i to tak skutecznie, że zbity zachorował obłożnie. Mszcząc się osobiście za jakąś anti-demonstrację, wymierzoną przeciwko jego ulubionej i wielce protegowanej aktorce, a wykonaną, jakoby z polecenia wojennego gubernatora miasta Irkucka, wpadł Sinielnikow na mocy podejrzenia jedynie do mieszkania gubernatora i obił go kijem. Powiadają, że mu odpłacono sowicie pięknem za nadobne, ale to nie zmienia wcale istoty rzeczy. Za żart jakiś, który miał obrazić protegowaną aktorkę, kazał generał-gubernator, podejrzanego o tę czynność obywatela miasta Irkucka, honorowego członka wielu instytucji humanitarnych i naukowych, zesłać do Jakucka, odebrać od niego wszystkie dyplomy, a nadto wykreślić go kazał ze wszystkich towarzystw i korporacji*). Guwernantkę Francuskę, pozostającą przy wnukach generał-gubernatora, wyrzucono wprost na bruk miasta, i byłaby tu z nędzy umarła, gdyby się nie znaleźli ludzie litościwi, którzy potajemnie odesłali ją do Petersburga, gdzie dopiero za wdaniem się posła francuskiego stało się zadość sprawiedliwości, której nie znano podówczas w Irkucku. W przejazdach po prowincji, tak maltretował i tak bił niemiłosiernie pocztyljonów („jamszczyków“) burjatów, że ci uciekali ze stacji każdego razu, gdy zasłyszeli o zamierzonej podróży wielkorządcy.

Z kijem nigdy się nie rozstawał, miał go ciągle przy sobie, jak Fryderyk, zwany „wielkim“ z tąd też do takiego samego tytułu — rościć ma wszelkie prawa, jak również pretendować może do monumentu z kijem, skoro go ma Fryderyk „pod Lipami“ w Berlinie.

Generał gubernator miewał często wizje i halucynacje, prawdodopobnie spowodowane alkoholem, bał się „strachów“, jak je nazywał, a które miały według niego obrać sobie siedzibę w pałacu generał gubernatorskim w Irkucku, sprowadzał więc do siebie popów, by ci modlitwami odganiali te strachy, aż nareszcie postanowił zbudować kaplicę w pałacu rzeczonym, chcąc mieć ciągle pod ręką lekarstwo na

*) Niezmiernie interesujące były wiadomości, odnoszące się do »złudzeń optycznych« (»opticzeskij abman«), które on dosłownie biorąc, uważał za oszustwo i myślał, że te złudzenia tkwiły nie w jego własnem oku, lecz w złej woli ludzi otaczających.

*) Tylko interwencja gubernatora wojennego i pułkownika żandarmów, wpłynęły na wstrzymanie wyroku odnośnie do wywiezienia skazanego do Jakucka.

przywidzenia, a nadto bezpieczne miejsce, dogodne dla modłów i praktyk pobożnych, którym się bardzo szczerze oddawał, po kilka razy na dzień.

Pragnąc usilnie dostać się do nieba, umyślił zamianować na świętego swego przyjaciela, archireja miejscowego, zmarłego podówczas w Irkucku na niestrawność, której się nabawił podczas sutej uczty u prezydenta miasta. Kazał tedy generał-gubernator opisać w „Wiadomościach Eparchialnych“ cud wielki, który się stał po śmierci zmarłego przyjaciela. Zwłoki bowiem archireja zamiast wydzielać woń zwykłą, właściwą wszystkim rozkładającym się ciałom organicznym, rozprzestrzeniać miały natomiast dokoła siebie zapachy nadziemskie, które opisano pod nazwą „Jerozolimskich“ („Jerosolimskije duchi“). Że pomimo tak oryginalnego cudu, który się stał za przyczyną świętego archireja nie zatwierdzono jego nominacji — winić o to generał-gubernatora nie można. Gorliwość swoją ku szerzeniu religji państwowej i języka urzędowego wykazywał dosadnie przy pomocy prześladowania „innowierców“, szczególnie zaś Burjatów. Kazał zamknąć wszystkie szkoły burjackie, konfiskować ich ołtarze domowe, niszczyć kopce ofiarne („Obo“), sam przytem osobiście znieważał gdzie mógł, w czasie podróży ich miejsca święte, a czynił to wszystko w przekonaniu, że tym sposobem podnosi chwałę i znaczenie „jedynej prawdziwej wiary na świecie“, jak się z tem kilkakrotnie dał słyszeć w przemowach swoich do delegatów burjackich, spotykających go w przejeździe po kraju Zabajkalskim z chlebem i solą i podarunkami cennymi.

Na tem zakończę przytaczanie faktów, mających na celu dać poznać i ocenić owego działacza politycznego, w którego rękach spoczywały przez ciąg lat kilku losy setek tysięcy ludności i życie każdego z wygnańców.

Sinielnikow po przybyciu do Irkucka, kazał natychmiast pomalować na świeżo wszystkie domy i parkany. Uskuteczniwszy to znamienite zadanie, tę ważną czynność wielkorządcy, której skutki pierwszy deszcz ulewny zniszczył bez śladu, bo malowanie to całe było tylko barwną pobiałą, zajął się następnie budową stałego teatru w mieście, nie tyle dla celów kształcenia mieszkańców, ile dla własnej osobistej wygody, gdyż wiedział z dawniejszego a kilkakrotnie już powtarzanego doświadczenia, że w ten sposób daje się harem najtaniej utrzymywać, bo kosztem miasta i publiczności. Przy urządzeniu teatru poruczył wszystkie roboty stolarskie, rzeźbiarskie, tokarskie i tapicerskie firmie Eichmilera,

Budowa gmachu teatralnego była to robota iście piekielna dla wszystkich, biorących w niej udział, a to od architekta poczynając, a kończąc na najemnikach dziennych. Codzień bowiem zjawiał się osobiście, pokilkakrotnie generał gubernator na miejsce budowy, z pałką w ręku, z wymyślaniami i połajaniami na ustach, lżył, złorzeczył, klął i bił każdego, kto mu się nawinął na oczy, a nie miał szczęścia przypodobać się jemu, bądź słowem, bądź wyglądem tylko. Pierwsza znaczniejsza kolizja pomiędzy generał-gubernatorem a Eichmilerem zaszła z powodu świeczników rzeźbionych, bo gdy je zawieszono na sali, zdało się wielkorządcy, że są za małe w stosunku do sali teatralnej. Nic nie pomogło odwoływanie się majstra do planów i wymiarów, zatwierdzonych osobiście przez generał-gubernatora, od których na włos nie odstąpiono, bo odstąpić nie śmiano. Pomimo to wszystko kazał autokrata przerobić świeczniki kosztem majstra, gdyż mu się tak podobało — i tyle. Odtąd datują już coraz częstsze napaści, to na samego Eichmilera, to na jego pomocników, aż nareszcie nadszedł dzień krytyczny. Przyjechawszy po jakiejś sutej uczcie w stanie podnieconym do gmachu teatralnego, napadł bez żadnej racji na tapicerów i zaczął ich gromić za to, że zbyt mocno naciągają półaksamit pąsowy na borty loży generał-gubernatorskiej. Odpierając ten zarzut niesłuszny, zrobił uwagę Eichmiler, że naciąganie materji na bortach jest rzeczą potrzebną, gdyż inaczej układać się ona będzie w zmarszczki; ta uwaga nie podobała się generał-gubernatorowi, bo zawołał rozzłoszczony „Ja wiem“ („Ja znaju“), ty każesz naciągać dla tego („patamu“), że chcesz ukraść sobie materji na kamizelkę („na żyletku“). Na gniewne słowa wielkorządcy odpowiedział Eichmiler spokojnie, że nie ma potrzeby kraść, bo umie zapracować uczciwym sposobem na utrzymanie i na kamizelkę, i że ani on sam, ani jego pomocnicy Polacy, nie kradną i kraść nie będą. Usłyszawszy tę odpowiedź, którą uznał za obrazę swego majestatu generalskiego, ryknął wściekły satrapa: „Wy wszyscy jesteście złodzieje, łotry i gałgany („wy wsie wory, maszenniki i niegadiai“) i porwał się do kija, wtedy Eichmiler uderzył w twarz generał-gubernatora.

Zaraz potem porwano, związano Eichmilera i odstawiono do więzienia. Sąd wojenny został wyznaczony z ramienia wielkorządcy i odbyły się tak zwane „sądy jawne“ („Głasnyje“). Cała komedja takich sądów dobrze jest znana każdemu, to też tutaj dosyć będzie przytoczyć parę następujących szczegółów tylko, ażeby wykazać, jaką wartość i jakie znaczenie sądy irkuckie miały w obecnym wypadku.

(Dalszy ciąg nastąpi).



4)

Z wycieczki do Słowacji.

(Ciąg dalszy).

A teraz dramat! Jakiś żyd, widocznie dzierżawca kawiarni w Domu narodowym, wyszedł na nasze spotkanie i, dowiedziawszy się, o co nam chodzi, pobiegł śpiesznie na drugą stronę westybulu; nad drzwiami izby widniał napis: Kasino. W chwilę potem zjawił się mężczyzna piękny, tęgo zbudowany, z wielkiemi sumiastemi wąsami, który nam się przedstawił jako Swatozor Hurban. Jest to jeden z gospodarzy lokalu, redaktor czynny „Narodnich Nowin“, literat i poeta, adwokat z zawodu. Uwiadomiony zawczasu o naszem przybyciu, zamówił dla nas mieszkanie w hotelu Balko i Starke i tam też nas z całą uprzejmością gentlemana zaprowadził. Gospodarz, człowiek zacny, inteligentny i pracowity, był nam niezmiernie rad. Zanim jednak nas zapytano, co jeść będziemy, numerowy przyniósł księgę meldunkową, w której zapisaliśmy swoje nazwiska, i choć to była godzina dziesiąta w nocy, zaniósł ją w tej chwili na policję. Komisarz zażądał bliższych informacji, których też udzieliliśmy natychmiast. Spożyliśmy wieczerzę, wybornie przez samego gospodarza sporządzoną, a składającą się z hłavački (głowacz), ryby turczańskiej, sera liptawskiego i lekkiego wina pezyńskiego. a więc wieczerzę czysto słowacką. Około jedenastej w nocy udaliśmy się do kasyna. Tu, w dużej sali, zastaliśmy zebraną inteligencję miejscową, kilkanaście osób, czytających dzienniki. Wkrótce grono to powiększyło się jeszcze. Byli tam lekarze, adwokaci, urzędnicy banku, przemysłowcy, rękodzielnicy, wreszcie studenci. Ustawa kasyna nie zna różnicy stanów i stopnia wykształcenia. Schodzą się tu wszyscy dla czytania i wymiany myśli. — Zaznajomiliśmy się ze wszystkimi. Przyjęci serdecznie i ugoszczeni winem, czuliśmy się wnet jak u siebie w domu. Pytań banalnych nie było wcale. Rozmowa od razu potoczyła się torem spraw miejscowych i polityki narodowej:

— Ilu was jest?

— Trzy miljony prawie.

— Ile macie pism?

— Dwadzieścia sześć, różnych odcieni, kierunków i specjalności.

— Czy są Słowacy na urzędach?

— Ani jednego, z wyjątkiem zaprzańców.

— Z czego żyje inteligencja?

— Z wolnych zawodów: lekarze, obrońcy, kupcy, przemysłowcy, rzemieślnicy, kantorzyści, urzędnicy w bankach prywatnych, oficjaliści, sklepikarze, ajenci handlowi, oto nasza sfera działania.

— Co to znaczy, iż we wszystkich karczmach, we wszystkich szynkach, zarówno w mieście jak na wsi, siedzą żydzi? Czyżby Słowacy brzydzili się tym procederem?

— Bynajmniej, lecz koncesję może otrzymać tylko żyd.

— Czy w celu rozpajania ludu?

— Nie; lecz żyd jest prawą ręką madziarów przy wyborach.

— Ilu macie prenumeratorów?

— Nasz dziennik polityczny, „Narodnie Nowiny“ ma 1600; pisma ludowe mają więcej.

— Jaki jest przeciętny dochód dziennikarzy?

— Tylko redaktorzy są płatni; „pisatele“ nie pobierają honorarjum; każdy Słowak inteligentny, umiejący się wypisać, uważa sobie za święty obowiązek pracować na niwie literacko-dziennikarskiej?

— Czy macie swobodę słowa?

— Tak i nie: konfiskata, kary pieniężne i odsiadywanie kozy robią swoje.

— A środki obrony?

— Żadne, wynik każdego procesu jest przesądzony; każdy z nas albo siedział, albo siedzi, albo będzie siedział.

— Więc nie ma sprawiedliwości?

— Jest, ale... madziarska.

— Co stanowi obrazę prawa?

— Wszystko: myśl, wyraz, forma.

— Czy zaznaczacie dążność do niezależności państwowej?

— Bynajmniej, jesteśmy członkami lojalnymi państwa węgierskiego, lecz nie chcemy uważać się za madziarów. Rząd tymczasem twierdzi, iż kto je chleb madziarski, ten powinien być madziarem, jak gdyby sami madziarzy nie jedli chleba słowiańskiego?

— Gdzie sięześrodkowuje wasze życie umysłowe?

— W muzeum i bibljotece naszego „Domu“.

— Czy „Dom“ oznacza wogóle instytucję jakąś, miejsce zebrań towarzyskich?

— Nie; lecz rząd nie pozwolił dodać przymiotnika „Narodny“.

— Jakie są fundusze „Domu narodowego?“

— Ofiarność prywatna i składki roczne członków. Wydział krajowy z uwagi na cele etnograficzne naszego muzeum, udzielił nam w tym roku jednorazowo aż 300 złotych reńskich. Cała prasa madziarska podniosła krzyk, pomawiając wydział i nas naturalnie o panslawizm. Liczba uczestników „słowackiego stowarzyszenia muzealnego“ nie jest jeszcze wielka, w tym roku mieliśmy 537 członków, z których 102 założycieli, a 435 zwyczajnych; dochód ze składek i ofiar wynosił 7.259 a rozchód 3.073

złotych reńskich. Bądźcobądź, „stowarzyszenie muzealne“ jest jednym z najważniejszych przejawów naszego życia narodowego. — Badanie przeszłości i teraźniejszości uświadamia w nas upadek tego życia, lecz świadomość taka wydać może w przyszłości znakomite owoce. Na razie chodzi nam o podniesienie oświaty i zachowanie kultury słowackiej. Szkół swoich nie mamy. Dzieci nasze od piątego roku życia uczą się po madziarsku. Nawet niektórzy księża wprowadzili język madziarski do kościoła. Czytajcie panowie, co dziś wydrukował dziennik peszteński.

„Cała nasza siła—pisze jeden z głównych madziaryzatorów—musi ześrodkować się w tem, aby lud słowacki nie domagał się cywilizacji. Należy przeto madziaryzować stanowczo i dojść do tego, aby człowiek mówiący po słowacku był duchowem chłopięciem, a każdy słowak, pragnący wyzwolić się z tego chłopięctwa, był madziarem ze sposobu myślenia i mówienia. A choćbyśmy nie zmadziaryzowali ludu do ostatka, to i tak nie wielka strata: słowaczyzna *na gnoju i za pługiem* nie wadzi nam; wara jednak od słowackości wszystkim, którzy się chcą wznieść po nad pług i motykę!

„Przeciwko madziaryzacji, ujętej w formę tak cyniczną—ciągnął dalej nasz rozmówca, redaktor *Gazety słowackiej* (*Slovenske listy*) z Rużomberku liptowskiego—jedyną bronią jest „stowarzyszenie muzealne“ i praca około oświaty i umoralnienia ludu. Cośmy zdziałali od r. 1861, zobaczycie jutro!“

Że już było późno, poszliśmy spać. Nazajutrz od samego rana wzięliśmy się do dzieła: trzeba było zapoznać się z fizjonomją miasta, z historją życia narodowego ostatniej doby, z ludźmi wybitnymi, wreszcie ze sztuką.

Św. Marcin turczański, po słowacku *Turciansky swaty Martin*, po węgiersku *Thurocz Szankt Marton*, to małe, lecz schludne, dobrze zabudowane miasteczko, mające około 4,000 mieszkańców i dwa zakłady przemysłowe: fabrykę mebli giętych, w której pracuje od 400 do 600 robotników i wielki browar po za miastem, nad rzeczką Turzec, po słowacku Turec, po madziarsku Thurocz. Św. Marcin jest stolicą komitatu turczańskiego i duchową stolicą ruchu umysłowego całej słowaczczyzny. Wychodzą tu nietylko „Narodnie Nowiny“ i „Słoweńske Pohlady“, miesięcznik naukowo-literacki, ale nadto większość książek bądź oryginalnych, bądź tłumaczonych.

Mowa, której lud używa w turczańskiem, uważana jest przez gramatyków za najczystszą i najbardziej słowacką, i dlatego wprowadzono ją de literatury. Zarówno jednak Szafarzyk, jak i Kollar, dwaj najznakomitsi uczeni i pisarze słowaccy, posługiwali się językiem czeskim. To też przez bardzo długi przeciąg czasu słowacy, wskutek wpływu potężnego dwóch tych uczonych z jednej strony, a propagandy narodowej, odwołującej się do tradycji hussyckiej z drugiej, stanowili pod względem literackim zupełną jedność z czechami. Dopiero patrjoci słowaccy późniejszej doby około r. 1840 idąc za radą Sztura i Palarika, zaczęli wszyscy pisać po słowacku. Tym sposobem powstało odrębne piśmiennictwo słowackie. Pisarze jednak słowaccy przyjęli czeską ortografję oraz wiele wyrazów i zwrotów czeskich, wskutek czego mniej świadomi właściwości obydwóch tych języków, z trudnością odróżniają jeden język od drugiego. Nie mniej jednak dorobek duchowy i literacki słowaków, jakkolwiek ruch w kierunku rozbudzenia samodzielnego życia narodowego rozpoczął się przed stu laty, jest już bardzo poważny. Wykaże to wkrótce rzecznik sprawy i literatury słowackiej, profesor Zawiliński, w książce p. t. „Słowacy, ich życie i literatura“, na razie więc zaznaczyć należy tylko charakterystyczne momenty ruchu wogóle.

Antoni Sygietyński.

(Ciąg dalszy nastąpi).



12)

Bunt Napierskiego.

Poemat dramatyczny.



(Do sali wpadają od strony dziedzińca junacy.)

Głosy z pośród junaków.

Gdzie nasz hetman?
My przez wykroty biegli i kamienie,
aż się krwawiły nam stopy; czekamy,
aby zobaczyć hetmana, a hetman
zapija sobie z starszyzną...

Łętowski.

Przysięgał...

Kilku z pośród junaków

(przyskoczywszy do stołu i nalawszy sobie wina do pucharów, stojących na stole, — zwróceni do Łętowskiego i Czepca.)

Na zdrowie, panie marszałku! na zdrowie,
Czepcze junaku!

Łętowski (gromko.)
Cóż to?

Napierski (w którym znowu zawrzała krew.)
Tak witacie
swego hetmana? Ja was za tę czelność
każę wywieszać...

Głosy z pośród junaków.
Jeszcze-ć nie wyrosły
jedliczki dla nas! o haj!...

Łętowski (j. w.)
Odejść! Odejść!

Czepiec i Radocki
(dają znak ręką, aby wyszli.)

Junacy (wychodzą.)

Napierski (do Łętowskiego, wskazując na odchodzących).
To bunt?...

Łętowski.
Nie panie! krew harnasiów naszych...

Radocki.
Lud niecierpliwy czeka u Horebu,
pragnie zobaczyć swojego wybrańca...
(Podczas tej całej sceny dolatuje gwar z dziedzińca; gwar ten ku końcowi wzmaga się coraz to bardziej.)

Napierski (przystąpiwszy do okna na dół ku dziedzińcowi.)
Bracia!

Radocki (przystąpiwszy również do okna.)
Narodzie!... Pierwszy i ostatni.
ten, który umarł! i znów ożył!

Napierski
Bracia!
Witaj...

Tłum w dziedzińcu.
Niech żyje nasz hetman!

Napierski.
Witajcie!
Bracia! na wielką przybyliście ucztę —
jutro wam większą zgotuję! Nasz wspólny
wróg, co ostatnie zdzierał łyko z biednych —
ten wróg zdeptany!

Głos Hanusi (z pośród tłumu w dziedzińcu — głos przerażenia i zdumienia).
Janosik!

Tłum w dziedzińcu.
A żyj nam!
żyj nam! Janosik powstał z swej mogiły
i w bój nas wiedzie, wielki bój!

Napierski (do tłumu w dziedzińcu.)
A teraz
użyjcie wczasu!...

(Do Łętowskiego.)
Panie Stanisławie!
panie marszałku! cóż to za dziewczyna?

Łętowski.
To moja córka, Hanusia.

Napierski.
Hanusia?!!

Łętowski (przy oknie, wskazując na tłum.)
A to jest, widzą, Salucha... Jak rzekłem,
imć pan Biczyński na dom nasz najechał,
ale mu Czepiec rozbił mądrą głowę.
Zemsty się bałem, tak ją wiodę z sobą —
bo, wiedzą, myślę: matce, starej babie,
nic tam nie zrobią, zaś młodej dziewczynie...
A tę Saluchę zaszliśmy po drodze.

Napierski (woła na dół ku dziedzińcowi.)
Hanusiu!

Łętowski.
Wielki to jest zaszczyt dla mnie,
że pan naczelnik wzywa moją córkę
przed swe oblicze.

Radocki.
Pobożnie przemawia,
człowiek ubogi, a w uściech bogaczów
odpowiedź bywa surową, lecz tutaj
ramię, ubrane w złoto i aksamit,
sięga miłośnie ku maluczkim.

Napierski.
Wszakże
ja brat wasz.

Łętowski.
Mamy i jeńców ze sobą,
panów hajduków, abyś ich sam, bracie,
wywieszał na tych gałęziach.

Napierski.
Nie, puścić!
Nie chcę wesela zamącać ich śmiercią!
Tylko potrzeba wziąść — przysięgę od nich...

Łętowski.
O haj! przysięgę! przysięgę! przysięgę!...

Napierski.
— że broń w ich ręku nigdy się nie zwróci
przeciw ich panu i przeciw ludowi.

Radocki.
Pan swą mądrością ugruntował ziemię,
a roztropnością umocnił niebiosa.

Napierski.
Panie marszałku! zarządziłem wszystko,
by jadła było i picia do syta.
Sam ty ugaszczaj... Żegnajcie druhowie.

(Łętowski i Radocki przodem ku drzwiom środkowym, gdzie znikają, za nimi zwolna Czepiec).

Czepiec (po zniknięciu Łętowskiego i Radockiego, we drzwiach środkowych, odwracając się do Napierskiego.)

Dziewkęś mi uwiódł, panie pułkowniku.

Napierski.

Twoją?

Czepiec (z tłumioną zawziętością.)

Ha! mcją! moją!...

(Chcąc odejść, pokornie.)

Sława Bohu!

Napierski.

Poczekaj, Czepcze!

Czepiec (odwraca się od drzwi, podchodzi ku Napierskiemu.)

Napierski.

Dzielny z ciebie junak —
najwaleczniejszy, rzekłbym, pośród naszych...
Trzeba odwagi twej na przywitanie
nieprzyjaciela... Weź mołodców swoich
i zabież drogę biskupim... boć chyba
miejmy nadzieję, że przyjdą...

Czepiec.

Mołodcy
moi strudzeni. Trza im wypoczynku.
Zostaw nas, panie, na zamku. To lepiej —
W lasach jest Sawka, a ten nam wystarczy.

Napierski.

Jeśli ci każę...

Czepiec.

Ha! pójdę... Lecz proszę:
Zostaw nas, panie, na zamku. Junacy
mogą się łatwo zbuntować... Chcą zostać
przy waści boku, a waść ich wypędzasz,
Zostaw ich, panie, na zamku.

Napierski.

Zostawiam.

Czepiec (pokłoniwszy się, odchodzi głównemi drzwiami).

Napierski (sam: ręką pociera czoło, w zadumie.)

Zda mi się prawie, że stałem się piłką,
którą podrzuca ten tłum...

(po chwili.)

Hm!... Łętowski.
niedźwiedź, lecz szczery...

(przechadza się po sali, potem opiera się bokiem znużony o krawędź stołu.)

Po chwili wchodzą **Hanusia Łętowska i Salka Nieznana.**

Hanusia (prowadzona przez Salkę, wszedłszy głównemi drzwiami od dziedzińca; wyciągając ręce, wyrwawszy je Salce.)

Janosik!...

(Cofa się; na pół nieprzytomna, prawie bezwładna, słaniając się.)

Królewski
jasny pułkownik!... królewski pułkownik!...

(Po chwili.)

A kto kołysać będzie nasze dziecię?!...

(Po chwili.)

Królewski, jasny pułkownik!...

Napierski (ku drzwiom na prawo.)

Hej! służba!

(do Hanusi.)

Upadasz z drogi, a i strach przebyty
z panem Biczyńskim...

Hanusia.

O, z panem Biczyńskim!...

(Po chwili.)

Królewski, jasny pułkownik...

Napierski (czule.)

Ty — dziecko...

(Wchodzi służba.)

Napierski (do służby.)

W pana starosty sypialnej komnacie
zgotować łoże... Godzi się jedynej,
imci marszałka Łętowskiego córce
spocząć na puchach — po trudach przeprawy —
i na jedwabiach...

(do Salki Nieznanej.)

Dopomóż jej, stara!

(Salka wyprowadza Hanusię, słaniającą się, przez drzwi na lewo.)

Napierski (sam przechadza się po sali, po chwili przystępuje do okna, wychodzącego na dziedziniec zamkowy i w zamyśleniu przyciska czoło do szyby).

Mała przerwa.

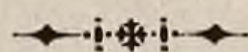
(Po chwili drzwiami z lewej strony wraca Salka).

Jan Kasprowicz.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Fr. MAŽURANIĆ.



Bulgar.

Z Bazylim Minczowym przyjaźniliśmy się w Zagrzebiu i Pradze. Miłował ponad wszystko ojczyznę. A gdy wezwała go na krwawe gody — poszedł...

W Serbji kula przebiła mu pierś. Rana zabliźniła się, ale zdrowie nie wróciło.

Chorował... Nikł z każdym dniem — i można już było przewidzieć, że nie wstanie z łoża boleści.

Odwiedzałem go często wraz z innymi przyjaciółmi. Lekarz nam powiedział, że niema ratunku. Ale biedny Bazyli nie przeczuwał zbliżającego się końca. Pełen był nadzieji w przyszłość do ostatniej chwili.

Z jakim zapałem mówił o ojczyźnie! Jak cudne snuł marzenia o jej przyszłości! Jakie plany układał na czas, gdy — wyzdrowieje!

Właśnie wojska pomocnicze przekroczyły Bałkany. Bulgarzy podnieśli chorągiew buntu. Bazyli rwał się też ku Bałkanom.

— Muszę wyzdrowieć — wołał — życie moje do ojczyzny należy.

Był gotów złożyć siebie w ofierze po raz drugi na ołtarzu Bulgarji...

. . . .

Pobratymie! czyś szczęśliwy tam, nad gwiazdami?

Z ziemi, krwią nasyconej, wybujało drzewo swobody. Pod jego cieniem towarzysze twoi wypoczywają i do dalszych sposobią się trudów.

Czyś zadowolony? Bulgarja zerwała pęta. Bulgarja zrosła się w jedno udzielne państwo.

A cóż ja będę mógł ci powiedzieć o swojej ojczyźnie, jeżeli jeszcze spotkamy się kiedy?..

Jaskółki.

Gdy jaskółki wróciły z wiosną do Celowca, zastały na ruinach zamku, w gnieździe swojem, wróbla. Wydzierca nie chciał w żaden sposób ustąpić z zajętego gniazda.

Jaskółki odfrunęły. Ale niebawem nadleciało ich całe stado, a każda niosła zlepek błota w dziobie. W oczach mnóstwa przyglądających się osób zamurowały wróbla w przywłaszczonem gnieździe.

Widziałem owo gniazdo w celowieckiem muzeum. Sterczy z niego jedynie dziób wróbla — usiłował je przebić w śmiertelnej walce...

Tak czynią jaskółki w słowieńskim kraju — pomyślałem, przypatrując się gniazdu — a jak się zachowują bracia Słowieńcy względem tego, kto im dom zabiera?... Tak samo zupełnie, jak i bracia Chorwaci: przynoszą jeszcze wydziercy naręcze słomy, aby miękkie miał posłanie!

Nie będziesz miał cudzych bogów...

Generał X. był synem chłopa — czystej krwi Chorwatem.

Ożenił się z Niemką i ta wychowała mu dzieci na Niemców.

Dopóki zdrowie służyło, wszystko szło jako tako. Ojciec nie odczuwał żadnego braku z powodu, że dzieci jego nie umiały po chorwacku. Alboż to konieczne!

Generał zachorował. Znalazł się nad grobem. Ciężka niemoc nim owładnęła. Zesłabł. Męczy się: ani żyć, ani umrzeć nie może!

Z wielkiej męki zapomniał obcej mowy. Po chorwacku jedynie może się rozmówić.

Jego najbliżsi nie rozumieją go. Chory gniewa się.

Dzieci płaczą, żona rozpacza, a on się wścieka, że go nikt nie rozumie.

Ostatnich nawet życzeń spełnić mu nie mogą.

Konając mówi. Ale co? — Sądzę, żem te ostatnie słowa wyczytał na zastygłem, rozpaczą napiętnowanem jego obliczu...

Zapamiętałem je dobrze!

The rest is silence.

„Rjeka“

„Dalmacja“

„Bośnia“

. . . .

Matko-Chorwatko! Wpleć te trzy imiona w codzienną modlitwę twego dziecka...

Prośba ust niewinnych może usłyszaną będzie... Nasze błagania nie odnoszą skutku: grzeszyliśmy.

Tłum. z chorwackiego

M. Wysłuchowa.



Z pism i książek.

Marja Turzyma: *Nadbrzeżne fale.* Nakładem Towarzystwa wydawniczego we Lwowie 1899 r. str. 177.

Najpiękniejsza z nowel, ta właśnie, od której cały tom zapożyczył tytułu, ukrywa się, niby perła, pod zwierzchniemi falami, na dnie książki. Bohaterem Nadbrzeżnych fal jest młody entuzjasta, co ukochał ponad wszystko na ziemi maluczkich, ciemnych, pokrzywdzonych przez los i ludzi i wskutek tej miłości znalazł się w kolizji z rządem, który nałożył nawet wysoką cenę na jego głowę.

I oto w chwili, gdy ów „zbrodzień stanu" rozmyśla nad sposobami ratowania ginących w nędzy i ciemnocie, gdy w pracy myśli i męce ducha szuka dróg do ich myśli zamkniętej i zamkniętego serca, wkraczają do jego izdebki żandarmi. Nie oni wszakże, nie ci służalcy tyranji pozbawiają go wolności. Byłoby to zbyt wielką łaską losu. Wrogów, zaciętszych od żandarmów, spotyka wśród tych właśnie, dla których pragnął wykraść z nieba „słońca promienie, a z łona ziemi wszystkie jej skarby". Tłum roboczego ludu rzuca się w ślad za nim, gdy w ucieczce szuka ocalenia. Ścigają go „z zajadłością chartów, spuszczonych ze smyczy, z żądzą krwi zgłodniałego jastrzębia", a pojmawszy byliby „rozszarpali na kawałki", gdyby nie wdanie się władz, które wolały, by apostoł równości społecznej zszedł z tego świata śmiercią inną — śmiercią od stryczka na szubienicy...

Starcie się dążeń idealnych z rzeczywistością jest tutaj tak ostre, że aż zgrzytliwe. Jaskrawością przedstawionego kontraksu Nadbrzeżne fale przypominają jedną z poezji prozą Turgeniewa — tę mianowicie, w której dwóch „z ludu" naradza się między sobą, w jakiby sposób można było zdobyć stryczek, na którym zawisnął przed chwilą „pan". A chociaż ów „pan" dzielił z nimi pracę fizyczną na fabryce, był dla nich bratem i za głoszenie wśród nich ewangelji braterstwa został powieszony, oni jednak pragną posiadać żałobną pamiątkę nie z jakichś tam pobudek „głupiego" sentymentalizmu, lecz ze względów czysto praktycznych. A mianowicie dla tego, że stryczek, zdjęty z wisielca, jest drogocennym talizmanem, zapewniającym bezkarność w kradzieży.

Z zajęciem dają się czytać i inne nowele, w omawianym tomiku zawarte. Każda z nich posiada właściwe sobie zalety. W opowiadaniu młodej nowelistki o pierwszych krokach na polu literackim („Szkoda czasu i atłasu"), przeważa dowcip i żywość. Najlepszym ustępem w „Mia Maria" jest rozmowa morza z ziemią, przełożona na język ludzki przez młodą narzeczoną, potrosze feministkę. Wrażenie głosów natury osłabia wszakże zbyt obfite, nie w feministycznym stylu, szafowanie pieszczotliwemi wyrazami. — Powabem smutku i szlachetną myślą przewodnią pociąga dziennik rozpaczającego po stracie ukochanej („Dzień zaduszny"), jakkolwiek motyw obrazka nie jest oryginalny. — Mniej szczęśliwym natomiast można nazwać wybór alegorycznych bajek, umieszczonych w „Nadbrzeżnych falach". Bohaterka jednej z nich, dziewczyna, co od zarania życia do starości „latała po polach w pogoni za słońcem" („Do słońca"), sprawia raczej wrażenie słabej na umyśle istoty, niż farysa, „któremu tak trzeba nieba i słońca, że tylko za niem pędzi bez końca". — „Skrzydlatej duszy" natomiast w bajce pod tymże tytułem możnaby gorzki zrobić wyrzut, że zbyt łatwo zapomniała podsłonecznych lotów, spotkawszy na drodze ziemskiej człowieka „prostej duszy i prawego serca", który „na rękach swoich ją kołysał, pocałunkami silny oddech swych płuc w usta jej wlewał".

„Skrzydlata dusza", spędzająca życie na wonnem posłaniu z kwiecistych puchów, ma być symbolem kobiety wogóle, z której mężczyzna uczynił swoją „własność", „źródło szczęścia i rozkoszy", ale niewiasty polskiego przynajmniej narodu nie dojrzą chyba żadnej wspólności między sobą, a tą odaliską Wschodu. Nie zabawką w rękach mężczyzny są dzisiejsze Polki, zdobywające sobie walką i trudem prawa obywatelstwa na różnorodnych polach pracy i nauki. Nie zabawie jedynie służyły i dawniej niewiasty polskie, nawet uprzywileowanej klasy, owe mężne duchem patrjotki-obywatelki, żony i córki żołnierskie, owe matki-spartanki, które w surowej szacie zakonnej pracowały w domu i po za domem, dźwigając na swych barkach brzemię trudów i odpowiedzialności za mężów, braci i synów, piersią zasłaniających swobody ojczyzny. Nie bezczynnie spędzonem życiem na kwietnych puchach zdobyły też sobie Polki u myślicieli narodu tytuł „ognistych dusz", a w ojczyźnie i po za jej granicami — cześć!

Zamykając tę bibljograficzną notatkę, należy jeszcze podnieść bardzo piękny styl „Nadbrzeżnych fal", — styl zwięzły, silny, a obok tego żywy i obrazowy. Autorka wyznaje w jednej z nowel, że „rozrzutną jest ze srebrem wymowy", a prawdzie jej wyznania przytwierdzi chyba ogół czytelników.

Zewnętrzna szata wydawnictwa odznacza się wytwornością, właściwą książkom, wychodzącym z pod prasy w drukarni Anczyca. *M. W.*

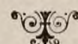


Błędy językowe.

Coraz częściej się słyszy niedorzeczne skupianie spójników: bo dla tego, że... bo ponieważ... Samo bo wystarcza, tak samo, jak wystarcza samo dla tego i samo ponieważ.

*

Doktor, czy doktór? Lepiej doktor, bo asesor, kolektor, rektor itd., ale nie asesór, kolektór, rektór itd.



Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.